

NASZA POWIEŚĆ

ROK XXIII

WARSZAWA, DNIA 5 WRZEŚNIA 1931 ROKU

NR. 36

ANDRZEJ STRUG

36)

OSTATNI FILM EVY EVARD

Na rue St. Dominique, gdzie w listopadzie miała długą poufną konferencję z szefem II-go Biura, zjawienie się jej nie wywarło najmniejszego wrażenia. Około godziny wysiedziała się w poczekalni, gdzie wciąż przechodziło i szastało się mnóstwo oficerów, a każdy przyglądał jej się natarczywie. Była najpewniejszą, że przychodzili umyślnie ze wszystkich biur żeby na nią popatrzeć. Sekretarz szefa siedzący w kącie nie zwracał na nią żadnej uwagi.

Nareszcie ktoś znajomy!

Smukła postawa, twarz jednooka, zeszpecona, cała w szwach i bliznach — ależ to on, poległy przed pół rokiem kapitan Percin... Spojrzał i podszedł do niej z wysiłkiem o lasce, suwając nogami, pod pachą dźwigał wielką wypchaną tekę.

— Więc pan żyje!...

— Miło mi powitać panią, pani Evo! Żyję, choć w oficjalnych wykazach zaliczono mnie wśród tych, którzy padli w listopadzie pod Soissons. Byłem ciężko poparzony i nawpół uduszony — Żółty krzyż! A zanim mnie dowieziono do Paryża, pani już mi znikła.

— Byłam tak zrozpaczona... Właściwie dlatego tylko wyjechałam, na moje utrapienie... Wszystko przez pana.

— Widzi pani co za los... Pomyłka jakiegoś sierżanta ewidencyjnego w pułku... I wszystko na nic. Niczem w wojennym kinodramacie.

— Wcale niezły pomysł, ale w kinie reżyser nie zmarnowałby tematu, byłby napewno ciąg dalszy — „w pół roku później” i tak dalej, gdy tymczasem nasz scenarjusz, panie kapitanie...

— Wiem, wiem — i może szkoda że inaczej być nie może.

— Zaprawdę szkoda, że wówczas nie stało się jak być miało, ale teraz... Lepiej że nic z tego nie będzie, ale możemy, jeżeli pan zechce, zachować stosunek przyjacielski?

— Z pewnością, pani Evo, ale nigdy już nie będziemy ze sobą mówili o tem co było? Nieprawdaż?

— Oczywiście! Ani o tem, czego nie było!

— Tak jest! A teraz, co panią sprowadza do tak osobliwej instytucji jak to biuro?

Eva zaczęła się skarżyć. Nic nie wiedział o jej przygodach berlińskich, ani o ucieczce, ani o powrocie, ani o tem, jak ją tu przyjęto. W krótkich słowach opowiedziała mu o sobie — w końcu przychodzi prosić o pomoc starego przyjaciela, generała Duvala i od godziny czeka oto na audjencję.

— Na audjencję u generała Duval, może pani

czekać przez całą wieczność. Generał Duval już od dwóch miesięcy nie jest kierownikiem II-go Biura.

— Więc dlaczego ten pan, który siedzi za stolikiem pod oknem nie powiedział mi o tem ani słowa?

— Tu są takie zwyczaje, ale z pewnością zameldował panią nowemu szefowi.

— Nie mam żadnego interesu do nowego szefa. Pan nie zna adresu generała Duval?

— Ach, pani, nie chciałbym żartować, ale o ile wiem, to na cmentarzu Gentilly. Poprostu umarł...

— Jakto?

— Był stary, spracowany, wojna go dobiła. Zachorował, chorował — i już.

— Biada mi! On jeden jedyny we Francji wiedział o mojej misji, która była najpoufniejszej natury. On jeden mógł poinformować prasę, że moje germanofilskie wynurzenia w Berlinie, generał Sittenfeld, film „Bogowie Germanji” i wszystko temu podobne było bezpośrednio związane z moją misją. A tymczasem on sobie umiera... To niesłychane!

— Pani Evo, wszyscy jesteśmy śmiertelni.

— Piękna pociecha!

— Mówię to, ponieważ i generał znał tę prostą prawdę, więc na wypadek śmierci napewno zachował w swoich papierach jakiś ślad owej tajemniczej misji. Zresztą w naszych biurach nic nie zostaje bez należytego utrwalenia i zadokumentowania. Z pewnością istnieje dossier Evy Evard. Będziemy szukali, obronimy panią, proszę się uspokoić! Ale co do szerokiej opinii o pani, to będzie to trudna sprawa. Opinia nasza jest w tych czasach wyjątkowo zawzięta i chciwa na zdrajców — potrzeba jej wciąż świeżego żeru, to też rzuca się jej na pastwę coraz to nowe ofiary... Pani zna sprawę Caillaux? Człowieka tego trzyma się w więzieniu w znacznym stopniu dla uspokojenia chorobliwej opinii. Żałuję, że obecnie nie należę służbowo ani do II-go Biura, ani wogóle do Ministerstwa, jednak ma się znajomości i drogi... Proszę wierzyć, pani Evo...

Paryż odetchnął swobodnie i ochłonał. Ustały nocne alarmy z atakami powietrznymi, zamilkła dalekosieżna bateria, nieprzyjaciół wyczerpany utknął na drodze do stolicy i umacniał się na krwawo zdobytych stanowiskach. Na ulicach ukazały się kolumny jeńców, przeciągały zdobyczne niemieckie baterje, dzienniki w arcyprzemądrze motywowanych artykułach dowodziły, że cała ta kampanja, zwana „zaskoczeniem 27-go maja” skończyła się ostatecznym wyczerpaniem żywej siły nieprzyjaciela, a zdobycze w terenie pomyslnie do pewnego stopnia taktycznie

zepchnęły Niemców z drogi ich naczelnej doktryny strategicznej i, biorąc rzecz strategicznie pogorszyły ich położenie, odbierając im, za tym razem już ostatecznie, wszelką nadzieję na osiągnięcie celów wojny.

Swoją drogą zastanawiającą ilość dowódców, którzy dali się byli „zaskoczyć” odesłano do Limoges „w stan rozporządzalności”, oddając ich w pazury „Tygrysa”, srogiego ministra wojny. Nie podano wykazu strat, to też szeptano sobie o nich cyfry straszliwe. Pomstowano na Anglików a zwłaszcza na przeubóstwionych Amerykanów, którzy w dniach grozy zalewali ulice, kawiarnie, teatry paryskie i nie zaznaczyli bodaj jako tako poważniejszego udziału swego w ostatnich walkach. Potęga niemiecka wisiała nadal nad Paryżem jak złowroga czarna chmura.

Na dworcach znowu tłok i zamęt, zewsząd przybywały przepełnione pociągi zwożąc z powrotem rzesze uprzywilejowane, które miały za co uciekać. Pewnego dnia przyjechał wraz z innymi senator Guillot-Goudon i tego samego jeszcze dnia, gdy tylko dowiedział się o powrocie Ewy, przybiegł do hotelu Lutaetia zawsze wierny i zawsze ten sam, z pękiem wspaniałych róż Meréchal Niel.

— Wiem, wiem, wszystko już wiem! Tragiczne nieporozumienie, które ośmiesza nasze wyższe sfery... Ale zarazem jest to hańba Francji! Jakto? Piętnować bojkotem największą artystkę świata? Jakto? Czyż, wojna nie wojna, Eva Evard nie ma prawa służyć sztuce gdzie i jak jej się podoba? Czem my jesteśmy? Co zrobiła z nas wojna?

Eva dała mu się wygadać, dała mu po wielokrotnie ucałować obie ręce, wreszcie oznajmiła mu o swojej tajnej misji, wiedząc, że stary zacznie natychmiast biegać po ludziach i jutro cały Paryż będzie wiedział o jej zasługach wobec Francji i o jej krzywdzie.

Senator oślupiał. Skandal przechodził granice wyobraźni! Więc ta, która narażała życie dla Francji nie jest, gdy szczęśliwie uniosła głowę, witana tryumfalnie, noszona na rękach, dekorowaną, a wręcz prześladowaną? Więc osławione II Biuro odmawia wszelkiej interwencji i przyjmuje znakomitą artystkę i bohaterkę narodową bezprzykładnie ozięble a nawet drwiąco? Te ohydne salony... Te redakcje, skorumpowane przez „Tygrysa”...

Na szczęście jest człowiek, który stawia czoło nie-ludzkiej nagance szowinizmu i ignorancji i podniesie swój głos na całą Francję. Odsłoni prawdę. Przedstawi bezmiar ohydnej krzywdy. Zażąda zadośćuczynienia za zniewagę i nagrody za czyny bohaterstwa.

— Pani Evo, natychmiast staję do walki. Na szczęście położenie na froncie ustaliło się, Komitet Obrony Stolicy, do którego mam zaszczyt należeć, zwolni tempo swoich prac, które zabierały mnie w całości. Mam czas, jestem przekonany, że już po paru dniach zwyciężymy na całej linii, w istocie całe nieporozumienie polega na jakimś kolosalnym głupstwie, które nawet nie zasługuje na miano absurdu... Jest to produkt wojny — ośłupienie masowe, nagminne, zaraźliwe. Bywa ono inspirowane, bywa i samorzutne, rodzi się z niczego i grasuje bez żadnej zasady ani przyczyny, gubi jednych, wywyższa innych, grzebie sprawy najśluszniesze a buduje fikcje, rujnuje przyzwyczajonych ludzi, służy hultajom... Pokolenia miną zanim Francja otrząśnie się z tej zarazy, zgaśnie pamięć bohaterstwa i cześć dla krwi przelanej, a z ojców na synów i na wnuków przetrwa najpodlejsze nasienie

wojny — upadek intelektualny i moralny społeczeństwa.

Na pytanie Ewy co do położenia na froncie i widoków na najbliższą przyszłość senator Guillot-Goudon wypowiedział mnóstwo mądrych frazesów, a wkońcu przyznał się ze swoją szlachetną szczerością, że na te pytania nie może jej dać żadnej odpowiedzi. Dlaczego? Dlatego, że sam nic już nie rozumie, a więc i nic nie wie.

— Ani jeden człowiek w Paryżu nie da Pani podobnej odpowiedzi. Każdy generał, mąż stanu, gazeciarz będzie wywodził przed panią mnóstwo racji co trzeba uczynić, kogo obalić a kogo postawić na jego miejsce, żeby osiągnąć zwycięstwo. Każdy gazeciarz zna położenie Anglii, Francji, Włoch, Ameryki, a z drugiej strony Niemiec, Austro-Węgier, Turcji i przeniknął ducha ich żołnierzy oraz ich zasoby aż do ostatniego guzika, ten wie, że zwycięstwo nasze jest zgóry zapewnione. I niech no kto spróbuje wątpić! Biada mu! Ale ja twierdzę, że nikt u nas nic nie wie. Tak samo z całą pewnością jest i po tamtej stronie, bo w tej tak zwanej końcowej fazie wojny inaczej być nie może. Przez cztery lata nagromadziło się w nas za wiele okropności, kryzysów, zawodów, ciosów, straconych nadziei, nadaremnych wysiłków, potwornych błędów. W mózgach mężów kierowniczych zebrało się pełno osadu, który paraliżuje myśl i wolę. Brniemy na ślepo macając przed sobą, jak w ciemnościach, kto teraz zna własne siły, nie mówiąc już o siłach przeciwnika? Codzień i to po dziesięć razy na dzień przysięgamy sobie nawzajem wiarę w zwycięstwo a po sto razy na dzień, nieustannie zapytujemy się w duchu czy to wszystko co czynimy i w czym żyjemy nie jest snem? Każdy chce się przebudzić, wydrzeć się z kosmaru i ocknąć się w jakimś innym świecie. Nawala faktów bije nas po łbie i nie da ani na chwilę spocząć żeby zebrać myśli. Gdzie się podział genjusz ludzki, który daje moc przenikania wszelkich zakłamań i w jasnowidzeniu wybiera najlepszą drogę do zwycięstwa? Nasi mężowie opatrnościowi — i nie tylko nasi — upierwotnili się, powiedziałbym schamiali i nic więcej nie wymagają od siebie jak tylko — trwać. Trwać, to teraz słowo najwyższej mądrości, zaklęcie magiczne na naszą bezradność, niemoc, na cały chaos, który nas zalewa. Są tacy, co wyliczyli, że możemy trwając tak wytrwać aż do połowy 1920-go — nie znam obliczeń niemieckich... I to się nazywa prowadzeniem wojny!... W tych warunkach...

Eva, słuchając tych wywodów, nudziła się, siedziała zadumana i smutna, patrząc na gościa spojrzeniem dalekim i nieodgadnionem, co podniecało go do coraz głębszych wynurzeń, do coraz dosadniejszych syntez.

Myślała o swoich dziwnych losach, gdy fortuna zawsze ją prowadziła z usługnym uśmiechem i o tem pierwszym załamaniu się, które mogło być przelotne i minąć, ale stało się ono już dla niej jakby złym znakiem, groźbą. Znalazła się w okropnym poniżeniu, jej ukochany Paryż, jedyna ojczyzna, zamierza ją zmiażdżyć i gorzej niż zabić. Z tych świętnych tłumów, ze wszystkich wielbicieli i przyjaciół został jej ten kapitan-psycholog, który nie miał żadnego znaczenia, i śmieszny bonhomme senator, który obiecuje wszystko, a nie potrafi nic i na dobitkę zdaje się spodziewać dla siebie jakowejś nagrody.

(D. c. n.).